



Trzy drogi do domu

Wrocław 2025

Wrocławscy Sybiracy – „Trzy drogi do domu” (4. tom serii „Rola Sybiraków w kształtowaniu życia społecznego w powojennym Wrocławiu”)

Redakcja merytoryczna: Kacper Rosner-Leszczyński

Redakcja językowa: Maria Rudnicka-Myślicka

Projekt graficzny i skład: Paweł Biskupski

Copyright © Stowarzyszenie Pamięci Zesłańców Sybiru, 2025



www.pamiecsybiru.wroclaw.pl

ISBN 978-83-966893-5-1

Na okładce wykorzystano zdjęcie przedstawiające wystawę sprzętu kościelnego przeznaczonego dla kościołów na kresach wschodnich, 1937 r. Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe (sygn. 3/1/0/15/747)

Publikacja zrealizowana przez Stowarzyszenie Pamięci Zesłańców Sybiru w ramach projektu „Pamięci Golgoty Wschodu 2025”.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Zadanie sfinansowano ze środków Gminy Wrocław

www.wroclaw.pl

Wrocław miasto spotkań

Wrocław 2025

Spis treści

<i>Kacper Rosner-Leszczyński</i>	4
Wstęp	
<i>Marek Kosendiak</i>	6
Zesłańcze losy Romana Janika i jego rodziny	
<i>Kacper Rosner-Leszczyński</i>	14
Dziecko Isfahanu. Władysław Czapski – zarys życiorysu	
<i>Joanna Hytrek-Hryciuk</i>	24
Ze wspomnieniami i nadzieją. Uczennice Szkoły Młodszych Ochotniczek w powojennym Wrocławiu	

Kacper Rosner-Leszczyński

Uniwersytet Wrocławski

Instytut Historyczny

Wstęp

Tom, który oddajemy w ręce Czytelników, opowiada o trzech drogach prowadzących „do domu”. Afryka, Iran i Bliski Wschód nie są tu jedynie punktami na mapie wojennej tułaczki Polaków, lecz przestrzeniami, które kształtowały się losy ludzi współtworzących później powojenny Wrocław. W centrum tej opowieści – jak zawsze – gdzie znajdują się Sybiracy. Przedstawione w tomie teksty ukazują różnorodność doświadczeń zesłańczych, ale łączy je wspólny mianownik: konieczność odnalezienia się w świecie po wojnie i zesłaniu. Pomimo że drogi bohaterów tomu różniły się geograficznie, prowadziły do tego samego miejsca: do powojennego Wrocławia. To właśnie tutaj zaczęli oni budować wspólnoty, instytucje i sieci społeczne.

Przedstawiona w tomie historia Romana Janika, którą opisał Marek Kosendiak, to opowieść o zesłaniu na Syberię i do republik ZSRR, o dzieciństwie odebranych przez głód, pracę i śmierć, a następnie o powrocie do kraju, który nie był już tym samym miejscem. Z kolei losy Władysława Czapskiego prowadzące przez Iran do Isfahanu, miasta, które dla tysięcy polskich dzieci stało się azylem i namiastką normalności po „niehumanitarnej ziemi”, przedstawione zostały przez Kacpra Rosnera-Leszczyńskiego. Trzeci z tekstów, pióra Joanny Hytrek-Hryciuk, ukazuje doświadczenia

młodych kobiet – uczennic Szkoły Młodszych Ochotniczek – których szlak wiódł przez ZSRR, Bliski Wschód i Wielką Brytanię, a pytanie „Wracać czy nie wracać?” stało się jednym z najważniejszych dylematów ich życia.

IV edycja projektu pn. „Wrocławscy Sybiracy – rola Sybiraków w rozwoju życia społecznego w powojennym Wrocławiu” wpisuje się w szerszą refleksję nad rolą doświadczenia zesłania i ruchów migracyjnych w kształtowaniu powojennej tożsamości miasta. Zebrane teksty pokazują, że „powrót do domu” nie był jednorazowym wydarzeniem, lecz długim procesem, który często trwał całe życie (nawet metaforycznie). Afryka, Iran i Bliski Wschód pozostały w pamięci bohaterów.

Marek Kosendiak

Stowarzyszenie Pamięci Zesłańców Sybiru

Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”

Zesłańcze losy Romana Janika i jego rodziny

Losy bohatera poniższego tekstu, tytułowego Romana Janika, są nierozzerwalnie związane z dramatyczną historią jego i jego rodziny: od dzieciństwa spędzonego na Kresach Wschodnich, przez brutalną deportację w głąb ZSRR, po powojenny powrót do Polski i poszukiwanie miejsca w nowej, niepewnej rzeczywistości.

Punktem wyjścia niech będzie osadzenie wydarzeń na osi czasu:

- 1930 – Roman Janik urodził się w Słobódce Zabielskiej (powiat Brasław, woj. wileńskie);
- 1935 – przeprowadził się z rodziną do leśnictwa Litówka koło Nowogródka;
- 1939 – nastąpiła agresja ZSRR na Polskę i początek represji, których doświadczał z rodziną i całym społeczeństwem;
- 1940–1944 – lata zesłania rodziny na Syberię i Ukrainę oraz pobyt w kolejnych posiołkach: Swietłoje, Pieredwiżnoje, Wierchniaja Strojka;
- 1946 – wrócił wraz z rodziną do Polski i wyjechał na Dolny Śląsk;
- 1958 – wziął ślub z Alicją, polonistką i wieloletnią instruktorką harcerską, pozostał z nią w związku aż do jej śmierci w 2010 r.;
- lata powojenne – nauka, praca nauczycielska, służba wojskowa, życie na Ziemiach Zachodnich i Północnych.

Życiorys mężczyzny i jego rodziny jest równocześnie odzwierciedleniem historii wielu tysięcy Polaków, które sami Sybiracy zwykli po latach nazywać „losami Sybiraków zimnych”. Grupę tę koleje życia pchnęły w najdalsze rejony Rosji i republik radzieckich i zmusiły, by przez kilka lat żyli w niesprzyjających warunkach w oczekiwaniu na powrót do Ojczyzny.

Dzieciństwo na Kresach

Roman Janik urodził się 9 września 1930 r. w rodzinie silnie związanej z tradycją legionową i wojskową. Jego ojciec, legionista i żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza, pełnił służbę na wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej. W 1935 r. Janikowie otrzymali leśniczówkę w Litówce, położonej niedaleko Nowogródka, w powiecie Wsielub. Zamieszkali tam – a okres ten Janik wspomina jako niemal idylliczne „życie sielskie-anielskie”, blisko natury i z dala od wsi oraz innych ludzi, choć zauważa, że mankamentem całej tej sytuacji był ograniczony kontakt z rówieśnikami.

Jego dzieciństwo zostało gwałtownie przerwane w 1939 r., kiedy nastąpiły masowe deportacje prowadzone przez NKWD. Ta polska inteligencka rodzina wojskowa, jak wiele innych, znalazła się na liście tych, których należało usunąć z terenów przyłączonych do ZSRR. Roman Janik zachował dokładnie ten dzień w pamięci: „[...] 17 września kończy się życie, kończy się sielanka, życie sielskie moje, ojciec przyjeżdża i mówi, że bolszewicy przekroczyli granicę na Niemnie i wali armia prawie milionowa z czołgami. I wieczorem już zobaczyłem, jak to szosą z Wsielubia od Niemna na Nowogródek jadą wszyscy, znaczy wojsko maszeruje”.

Transport i pierwsze miesiące

Moment aresztowania i początek zesłania Janik zapamiętał podobnie jak inni, których tysiące relacji z nocy z 9 na 10 lutego 1940 r. znamy: nierozumienie sytuacji, barczysty enkawudzista

w skórzanej kurtce i czapce z czerwoną gwiazdą. Siedmioosobowa rodzina dostała 20 minut na spakowanie się i została dowieziona saniami nad Niemen, gdzie w punkcie ładunkowym paliły się ogniska na torach. Transport odbywał się w wagonie z gołymi deskami i stojącą pośrodku kozą dającą nikłe ciepło; wewnątrz panował niesamowity smród. Po niekończącej się jeździe pociągiem przesiedleńców czekało jeszcze siedem dni podróży, rodzinę deportowano bowiem do odległych posiołków w głębi Związku Radzieckiego. Pierwszym przystankiem była osada Swietłoje nad Ługodą, a następnie – Wierchniaja Strojka – miejsca pracy i biedy, w których przebywali Polacy uznani za „element niebezpieczny” dla ustroju.

Panowały tam ekstremalnie trudne warunki. Baraki były brudne, zimne, zapluskwione i pełne różnych innych insektów. „[...] brud, smród, mróz, pchły, karaluchy, ta sama” – wspominał po latach sam Roman Janik. Brak opieki medycznej i żywności powodował wysoką śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci: „Śmierć to nagminnie była... dzieci poumierały w pierwszej kolejności”.

Mimo wszystko Polacy próbowali organizować sobie namiastkę normalnego życia. Ojciec Janika, dzięki talentom technicznym i zdolnościom organizacyjnym, potrafił wynegocjować deski, gwoździe i lampę naftową w zamian za własny wojskowy pas, co pozwoliło rodzinie zbudować prycze i w najprostszy sposób wyposażyć barak.

Codziennosc pracy i przetrwania

Na zesłaniu nie było mowy ani o życiu kulturalnym, ani o rozrywce: „Nie było żadnego spektaklu, nie było nic... była robota” – relacjonował Janik. Dominowała praca – bez niej dzieci i dorośli nie mogliby otrzymać minimalnych racji żywnościowych. Zwykle było to „15 deko chleba na dzień”; ale nie było to pieczywo świeże, bo, jak wynika z relacji, „[...] to jeszcze po chleb trzeba

chodzić raz na 2 tygodnie po kilkunastokilometrowych marszach do punktu odbioru”. Niemniej wielu zesłańców wykazywało się niezwykłą pomysłowością i hartem ducha. Żywili się tym, co można było znaleźć tam, gdzie mieszkali: pokrzywami, owocami, np. jagodami i tym, co „przyroda dawała”, a czego trzeba było się nauczyć używać, chcąc przeżyć. Janik wspomina o suszeniu na zimę grzybów i pokrzywy. Sytuacja ta trwała do przełomu spowodowanego agresją III Rzeszy na Związek Radziecki.

Przesiedlenie do posesiłka Wierchnia Strojka

Wraz z formowaniem armii Andersa i „wyprowadzeniem wojska za granicę” rodzina Janików została wywieziona na Wierchnią Strojkę. W pamięci młodego wtedy człowieka zachowała się negatywna reakcja „służby z posesiłka”, która uważała te rodziny za obcy element: „[B]yliśmy znów zdrajcami, paralitykami, że nie chcieliśmy walczyć u boku armii radzieckiej”. Wszystko to działo się przed zimą 1942 r., która okazała się być bardzo sroga – mrozy osiągały nawet do -40° C, a pokrywa śnieżna była wysoka na 2 metry.

Przed zagłodzeniem rodzinę ratował przydział do pracy przy cięciu drewna uprzednio ściętego w lesie. Opis codzienności przypomina niekończącą się opowieść o chłdzie i głodzie: „Marzniemy i przymieramy głodem, czekając wiosny na pożywienie – pokrzywę, lebiodę, sok z brzozy, grzyby i jagody na bagnach”. Bohaterowi tego artykułu mocno wrył się w pamięć skład chleba, do pieczenia którego potrzeba było „łubinu, owsa, otrąb i trochę mąki”. Z tego okresu pochodzi wspomnienie młodych chłopców, którzy wybierali się w dwumiesięczną podróż na żebrzy. Wchodząc do kolejnych wsi, posesiłków i zagród prosili o odrobinę pożywienia, mówiąc „[D]ajcie coś w imię Chrystusa”. Młody Janik z tego czasu zapamiętał równie mocno bardzo częste odpowiedzi miejscowej ludności, która wieszczyła mu rychłą śmierć słowami: „[T]y, Polak, umrzesz młodo” i podobnymi.

Wielką tęsknotę za Ojczyzną zwiększały kolejne przeżywane na zesłaniu święta: Wielkanoc i Boże Narodzenie w latach 1942–1945. Czas ten różnił się od codzienności jedynie tym, że na kilka tygodni wcześniej nadludzkim wysiłkiem każdy członek rodziny odkładał po kawałku chleba i innych produktów, aby w tym czasie lepiej zjeść.

Część przejściowa – Ukraina, oczekiwanie na powrót (1944–1945)

W końcowych latach wojny NKWD przeniósł część polskich rodzin na południe, w okolice Odessy. Tam panował bardziej sprzyjający klimat – było ciepło, a dzięki temu było też więcej jedzenia. Dostęp do różnych owoców i warzyw, np. winogron, melonów czy kukurydzy poprawił sytuację żywieniową. Na lepsze zmieniło się nie tylko to: matka Romana załatwiła formalności w Odessie, wpisując rodzinę na listę ewakuacyjną, co umożliwiło wszystkim legalny powrót do Polski. Zanim jednak to nastąpiło, w sierpniu 1944 r. dokonała się ewakuacja z posiołków i rozpoczęła ponaddwutygodniowa podróż na zachód. Czternastoletni wówczas Roman rozumiał, co się działo, ale też ze zadziwieniem oglądał nieużytki, zniszczone w czasie wojny. Choć wszędzie odcisnięte było jej piętno, dla niego samego nastąpiła wielka zmiana warunków życiowych właśnie w związku z dostępem do żywności. Wspomina, jak ogromne wrażenie zrobił na nim widok ziemniaka, który przez 5 lat był symbolem sytości, oraz możliwość jedzenia słodkich, soczystych winogron.

Rodzina Janików została skierowana do ponemieckiej kolonii Lichtenfeld oddalonej o 100 km od miasta, pozostali tam do zakończenia wojny. Pracowali w systemie kołchozowym, przy pracach polowych. Warunki życia były dużo lepsze niż w posiołkach. Rodziny kwaterowano w murowanych domach (często jednak także zauszonych). Na tym obszarze „[r]ośły melony, kawony, kukurydza, słonecznik, pszenica”, więc, pracując

przy zbiorach, „można było się czymś pożywić, jak się zrywało winogron, to się najadło tyle ile chcesz, nie chciałeś jeść więcej”.

Powrót do Polski (1946)

W 1946 r. rodzina Janików została załadowana do pociągu. Trasa biegła „naokoło, tędy, owędy”. Podróż była długa i wyczerpująca, ale przyniosła upragnioną perspektywę nowego początku. Pociąg dotarł do Dworca Świebodzkiego we Wrocławiu pod koniec marca 1946 r. Miasto nad Odrą było w ruinie – mówiono, że jest „rozwalon[e] jak Warszawa”. Wciąż częściowo zamieszkiwali je Niemcy, z którymi Polacy przez pewien czas współdzielili przestrzeń życiową.

Roman zapamiętał atmosferę niepewności pierwszych powojennych miesięcy: wielu osadników nie wierzyło, że zostaną tu na stałe, obawiając się powrotu Niemców i konieczności ponownej ucieczki.

Życie zesłańców po powrocie

Mimo odzyskania wolności w Polsce Ludowej zesłańcy często spotykali się z nieufnością władz i społeczeństwa. Janik podkreślał, że opowieści o Syberii były „niemodne”, a ujawnienie prawdy mogło zamknąć drogę do edukacji lub pracy: „Dziecko, nie pisz tego, bo cię nie przyjmą na studia” – słyszał od najbliższych. Jego ojciec, który po wojnie trafił do Anglii, był uznawany za osobę politycznie niepewną, co obciążało również całą rodzinę. Z tego też powodu sam Roman wielokrotnie słyszał, że jest „wrogiem numer jeden Związku Radzieckiego”.

Po wojnie: edukacja, wojsko, praca

Wbrew przeciwnościom Roman Janik zdobył wykształcenie, zdał maturę i został nauczycielem. Choć w szkole borykał się z konsekwencjami swojej przeszłości, m.in. problemem w dostępie

do studiów, konsekwentnie realizował swoje plany. Wiele razy okazywało się, że jego znajomość języka rosyjskiego, wyniesiona z zesłania, bywała dla nauczycieli powodem zakłopotania, gdyż przewyższał ich kompetencje. W końcu trafił do wojska, gdzie zdobył stopień oficerski, szkoląc się m.in. w Żaganiu, Pleszewie i Toruniu. Nie zawsze akceptował warunki służby w Ludowym Wojsku Polskim, ale umiał znaleźć swoje miejsce i kontynuował pracę w edukacji, ostatecznie spędzając w niej kilkadziesiąt lat.

Po latach zamieszkał na Dolnym Śląsku – najpierw w okolicach Sobótki, potem Rogowa, a wreszcie we Wrocławiu. Życie w regionie stopniowo normalniało, choć wciąż wymagało adaptacji i budowania od podstaw – od odbudowy szkół po tworzenie powojennego systemu edukacyjnego, z którym Janik miał styczność jako nauczyciel i dyrektor.

Sybiracka działalność związkowa

W przypadku Romana Janika przejście na emeryturę okazało się otwarciem zupełnie nowej i pięknej karty: działalności związkowej na rzecz Sybiraków. Aż do 2026 r., przez 28 lat, był aktywny w strukturach krajowych, pełniąc różne funkcje w Komisji Rewizyjnej, w tym – 10 lat przewodząc jej pracom. Po raz pierwszy do tej komisji został wybrany w trakcie 3. Krajowego Zjazdu Delegatów Związku Sybiraków w Jeleniej Górze. Jak sam wspomina, jest aktywnym członkiem Koła Sybiraków Wrocław-Fabryczna już od początków lat 90. XX w. Długo przewodniczył tej strukturze, a w latach 2015–2026 r. pełnił funkcję wiceprezesa wrocławskiego oddziału Związku Sybiraków. W ramach zwyczajowych obowiązków Roman Janik odwiedza dziesiątki wrocławskich szkół, udzielając lekcji „żywej historii”, i uczestniczy jako reprezentant w uroczystościach państwowych i wojskowych; jego obecność jest szczególnie cenna – ze względu na stopień podporucznika – w trakcie przysięg wojskowych.

W 2007 r. został uhonorowany za swoją działalność i aktywność Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, otrzymał też wiele innych odznaczeń sybirackich i państwowych, jak „Pro Patria” i „Pro Bono Poloniae”. 19 lutego 2021 r. za zasługi w działalności społecznej i upamiętnianie losów zesłańców Sybiru we Wrocławiu odebrał od Prezydenta Miasta Wrocławia medal „Merito de Wratislavia – Zasłużony dla Wrocławia”.

Podsumowanie

Życiorys Romana Janika to opowieść. Jednocześnie to głęboko indywidualna historia losów polskiej rodziny wyrwanej ze swojego domu przez deportacje sowieckie. To też historia:

- dziecka z Kresów Wschodnich, wychowanego w wojskowej tradycji,
- zesłańca, który przeżył skrajną biedę, głód i śmierć bliskich,
- przesiedleńca, docierającego do ruin Wrocławia,
- obywatela PRL-u, zmagającego się z politycznymi ograniczeniami,
- nauczyciela i oficera, który pomimo trudności zbudował stabilne życie po wojnie.

Jego wspomnienia stanowią nie tylko zapis losu jednego człowieka, lecz także świadectwo doświadczeń tysięcy Polaków, którzy przeszli przez piekło Syberii i wracali do kraju zmagającego się z nową polityczną rzeczywistością.

Bibliografia

Źródła archiwalne

Zbiory Związku Sybiraków. Oddział Wrocław.

Roman Janik, Archiwum Historii Mówionej, AKC/2023/0019, relacja ze zbiorów Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

Wspomnienia

Roman Janik, Pamiętnik Zesłańca Sybiru 1940–1946, Wrocław 2023.

Kacper Rosner-Leszczyński

Instytut Historyczny

Uniwersytet Wrocławski

Dziecko Isfahanu. Władysław Czapski – zarys życiorysu

Władysław Czapski urodził się 29 stycznia 1938 r. w miejscowości Drohiczyn Poleski – leżącej w przedwojennym województwie poleskim (ówczesnie II Rzeczpospolita, obecnie – tereny Białorusi) – jako drugie dziecko Feliksa Czapskiego i Janiny z domu Borysowskiej. Jego ojciec był mierniczym (geodetą) zatrudnionym w Urzędzie Ziemskim w Brześciu nad Bugiem, a jednocześnie – oficerem rezerwy Wojska Polskiego, zaś matka pochodziła z zasłużonej rodziny ziemiańskiej z okolic Próżan na Polesiu. Rodzina matki od pokoleń zamieszkiwała ten obszar i posiadała znaczne gospodarstwo. W domu pielęgnowano tradycje patriotyczne, a wśród przodków byli uczestnicy powstania styczniowego, np. prapradziadek Aleksander Włoskowski, skazany przez władze carskie na karę śmierci i katorgę na Syberii za udział w tym zrywie niepodległościowym. Ta trudna rodzinna historia nie zniechęciła jednak kolejnych pokoleń do służby ojczyźnie – ojciec Władysława kontynuował tradycje wojskowe.

Dorastający Czapski pierwsze lata życia spędził właśnie w Drohiczynie Poleskim. Miał starszą o dwa lata siostrę, Wandę, urodzoną w 1936 r. Ich dzieciństwo przypadło jednak na bardzo burzliwy okres historyczny. Gdy we wrześniu 1939 r. wybuchła II wojna światowa, mały Władek miał zaledwie rok. Jego ojciec,

w obliczu niemieckiej inwazji i zbliżającej się Armii Czerwonej, zgłosił się do obrony Twierdzy Brzeskiej. Po kapitulacji postanowił pieszo wrócić do rodziny w Drohiczynie – znał doskonale lokalne tereny, co ułatwiało mu poruszanie się z dala od głównych dróg. Dla bezpieczeństwa zamienił jednak swój polski mundur oficerski na strój cywilny, by nie rzucać się w oczy patrolom radzieckim zajmującym te obszary od 17 września 1939 r. Ostrożność okazała się słuszna: w drodze do domu został zatrzymany przez patrol Armii Czerwonej. Dzięki biegłej znajomości rosyjskiego i przytomności umysłu zdołał ich jednak zmylić – podał fałszywe informacje o rzekomym kierunku ucieczki polskich oficerów, czym odwrócił uwagę żołnierzy radzieckich i został puszczony wolno i szczęśliwie dotarł do Drohiczyna.

Początkowo wydawało się, że rodzinie Czapskich udało się uniknąć najgorszego. Ojciec, po zajęciu Kresów przez ZSRR, znalazł tymczasowe zatrudnienie w swoim cywilnym fachu – geodety – w lokalnej administracji pod okupacją radziecką, starając się pozostać w Drohiczynie i przeczekać wojenną zawieruchę. Niestety, w nocy z 9 na 10 lutego 1940 r. funkcjonariusze NKWD zapukali do domu Czapskich. Najpierw aresztowano ojca rodziny – wyprowadzono go i osadzono jako więźnia politycznego. Z akt, do których Władysław Czapski dotarł po latach, wynika, że Feliks Czapski trafił do więzienia pod Moskwą, gdzie był przetrzymywany do czasu tzw. amnestii po układzie Sikorski-Majski w 1941 r. Niedługo po aresztowaniu ojca przyszła kolej na resztę rodziny. W ramach masowych wywózek obywateli polskich z Kresów, również Janina Czapska oraz jej dzieci – 2-letni Władysław i 4-letnia Wanda – zostali deportowani w głąb Związku Radzieckiego. W lutym 1940 r. wraz z setkami tysięcy innych Polaków przewieziono ich w bydłących wagonach na Syberię – rodzinę osadzono w obwodzie archangielskim na północy Rosji, gdzie mieli przymusowo zamieszkać i pracować na zesłaniu.

Warunki życia były tam skrajnie trudne. Czapski wspominał, że w ZSRR spędził około dwóch lat – okres ten jednak nie pozostawił w jego pamięci wielu bezpośrednich wspomnień z racji bardzo młodego wieku. Jak sam przyznaje, był to czas „poza jego świadomością” – wiedzę o tamtych realiach czerpie głównie z opowieści i dokumentów. Mimo to losy rodziny potoczyły się dramatycznie. Matka Władysława starała się opiekować nim i jego siostrą najlepiej, jak potrafiła, walcząc o przetrwanie. Podobny los spotkał krewnych – m.in. siostrę matki wraz z trójką dzieci, których także wywieziono do obwodu archangielskiego (choć innym transportem niż Czapskich). Rozdzielone rodziny polskie trawiła niepewność co do losu bliskich: żony nie miały żadnych wieści o uwięzionych mężach.

Po ataku III Rzeszy na ZSRR w czerwcu 1941 r. i podpisaniu układu Sikorski-Majski w lipcu 1941 r., Stalin zgodził się na „amnestie” dla obywateli polskich w ZSRR i utworzenie Polskich Sił Zbrojnych na terenie Związku Radzieckiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa. W wyniku tej zmiany losu Feliks Czapski, jako przedwojenny wojskowy, został zwolniony z więzienia po ponad roku od aresztowania. Wstąpił do formującej się Armii Andersa jako porucznik Wojska Polskiego – formalnie został odkomenderowany do niej z radzieckiego łagru po ogłoszeniu amnestii. Tym samym pojawiła się nadzieja także dla jego rodziny na opuszczenie „niehumanitarnej ziemi”. Pod koniec zimy i wiosną 1942 r. rozpoczęła się wielka ewakuacja polskich żołnierzy i cywilów z ZSRR do Iranu, uzgodniona przez aliantów. Janina Czapska z dziećmi również trafiła na listę osób przeznaczonych do wywozu. Jak wynika z zachowanych dokumentów, 4-letni wówczas Władysław został ujęty imiennie na liście ewakuacyjnej dzieci osiedlonych przy granicy afgańskiej – wraz z nim transportowano około setki polskich maluchów w wieku 4-5 lat pod opieką zaledwie pięciu dorosłych kobiet. Wszyscy

oni zostali przewiezieni ciężarówkami przez pustynne stopy Azji Środkowej do portu Krasnowodzk nad Morzem Kaspijskim, skąd ewakuowanych Polaków statkami kierowano do Iranu.

W kwietniu 1942 r. pierwsze transporty polskich żołnierzy i cywilów dotarły do portu Pahlevi w Iranie. Wśród nich był porucznik Feliks Czapski, który przedostał się z Armią Andersa na irańską ziemię w pierwszej fali ewakuacji wojskowej wiosną 1942 r. Kilka miesięcy później, latem tego samego roku, do Iranu przybyła także Janina Czapska z dziećmi. Rodzina, rozdzielona przez dwa i pół roku wojennej tułaczki, mogła wreszcie spotkać się ponownie na wolnej ziemi. Doszło do tego w obozie przejściowym w irańskim porcie, gdzie organizowano pierwszą pomoc dla wyniszczonych pobytem w ZSRR Polaków. Feliks Czapski, jako cywilny mierniczy z zawodu, pomagał tam w pracach organizacyjnych przy urządzaniu obozowiska dla ewakuowanych – wytyczał place pod namioty, strefy sanitarne, cmentarz obozowy itp. Pewnego dnia, idąc wzdłuż prowizorycznych latryn osłoniętych brezentem, usłyszał znajomy głos – okazało się, że z pełnym przypadkiem rozpoznał w ten sposób po głosie swoją żonę i odnalazł rodzinę w obozowym tłumie Pahlevi. Radość z ponownego połączenia rodziny była jednak krótkotrwała. Warunki zdrowotne w obozach irańskich, mimo starań lekarzy, były trudne – wielu wygłodzonych i wycieńczonych uchodźców zapadało na choroby tropikalne i zakaźne. I właśnie matka Władysława, Janina, zachorowała na tyfus plamisty w obozie w Teheranie, dokąd przeniesiono część ewakuowanych. Mały Władek zapamiętał, że pewnego dnia podszedł do posłania matki w namiocie szpitalnym, a mamy już tam nie było – zmarła nagle wskutek choroby; prawdopodobnie miało to miejsce pod koniec 1942 r. Było to dla niego przeżycie traumatyczne. Janina Czapska została pochowana na polskim cmentarzu, wśród setek innych ofiar zesłańczej tułaczki.

Pod koniec 1942 r. Władysław Czapski został ewakuowany z Teheranu do Isfahanu – miasta w centralnym Iranie, które w czasie wojny stało się azylem dla polskich dzieci uratowanych z ZSRR. Spędził tam około trzech lat, od późnej jesieni 1942 r. do końca wojny w 1945 r. Miejscowe społeczności oraz polskie i brytyjskie organizacje utworzyły tam sieć sierocińców, ochronki i szkoły dla polskich dzieci, a Czapski trafił do jednego z takich miejsc. Jak wspomina, placówki dla najmłodszych mieściły się często w dawnych rezydencjach i pałacykach otoczonych dużymi ogrodami. Także tam, gdzie przebywał, teren był ogrodzony i bezpieczny, a dzieci mieszkwały w przestronnych salach dawnego pałacu. Życie podopiecznych miało swój stały rytm: poranna toaleta, modlitwa, a następnie wspólne posiłki przy długich stołach, pod opieką polskich wychowawczyń i irańskiego personelu pomocniczego.

W 1945 r. dobiegła końca wojna w Europie, jednak dla Polaków w Iranie oznaczało to nowe niepokoje. Isfahan leżał w strefie operacyjnej wojsk alianckich. Po ich zwycięstwie pojawiła się obawa, że Sowieci mogą przejąć kontrolę nad całym krajem, a wtedy polscy uchodźcy mogliby zostać wydani ponownie w ich ręce. „Padł błady strach, że resztę Iranu zajmie Armia Czerwona i nas znowu wyślą na Sybir” – wspomina Czapski atmosferę tamtych dni. Na szczęście do tego nie doszło – zachodni alianci zabezpieczyli ewakuację polskich cywilów z Iranu do innych krajów. Rząd RP na uchodźstwie w Londynie czynił starania, by gdzie indziej znaleźć schronienie dla swoich obywateli. W geście wdzięczności za uznanie niepodległości Libanu (proklamowanego w 1943 r.) władze tego kraju zgodziły się przyjąć sporą grupę polskich uchodźców. Latem 1945 r., tuż po zakończeniu działań wojennych, około 3500 polskich cywilów – głównie kobiet i dzieci – zostało przeniesionych drogą morską z Iranu do Libanu. Władysław Czapski znalazł się wśród nich wraz ze swoją cicią (siostrą zmarłej matki, która towarzyszyła

jemu i siostrze od czasu ewakuacji z ZSRR) oraz grupą innych polskich sierot i matek. Tak zakończył się w jego życiu „perski rozdział” i rozpoczął libański.

Dla kilkuletniego Władysława Liban na krótko stał się nową ojczyzną. Polska społeczność uchodźcza w tym kraju ulokowana była w kilku miejscach – w wioskach i miasteczkach. Czapski wspomina ten czas niemal jako „raj na ziemi”. Miejscowa ludność przyjęła Polaków życzliwie, a spokojne realia małej libańskiej wioski kontrastowały z dotychczasowymi dramatycznymi przeżyciami dzieci. Nikt nie zamykał domów na klucz i panował zwyczaj sąsiedzkiej otwartości – do tego stopnia, że listonosz zostawiał paczki i listy w lokalnym sklepiku, skąd każdy mieszkaniec sam odbierał swoją pocztę. Władysław miał możliwość, by rozpocząć tam formalną edukację – poszedł do pierwszej klasy polskiej szkoły podstawowej. Bariera językowa i długie miesiące bez nauki sprawiły jednak, że start szkolny nie był łatwy. Sam Czapski przyznaje, że nawet gdy już przyjechał do Polski, nadal słabo czytał – składał litery, nie rozumiejąc od razu całych słów, i musiał nadrabiać zaległości edukacyjne. Niemniej pobyt w tym kraju dał mu wytchnienie i szansę normalnego życia z rówieśnikami.

Ojciec Władysława, Feliks, po zakończeniu wojny również przybył do Libanu. Jako oficer Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie został zdemobilizowany w 1945 r. we Włoszech. Feliks stanął przed dylematem: pozostać na emigracji czy wrócić z dziećmi do Polski, która znalazła się pod rządami komunistycznymi. Wielu polskich żołnierzy wybrało emigrację, obawiając się represji w kraju. Jednak Feliks Czapski podjął decyzję o powrocie do ojczyzny, gdzie w miejscowości Ryki na Lubelszczyźnie czekali na niego starzejący się rodzice (dziadkowie Władysława). Postanowił więc zabrać syna i córkę z Libanu do Europy. Podróż wiodła przez Włochy – polscy uchodźcy byli transportowani wojskowymi wagonami przez Półwysep Apeniński. Władysław zapamiętał

pobył w obozie przejściowym Cinecittà pod Rzymem (słynne studio filmowe zamienione w tym czasie w obóz dla Polaków). Miał wtedy około 9 lat i wykazywał się niemałym sprytem – biegał do miasta, by kupować zapalki w kiosku, a następnie sprzedawał je z kilkukrotnym przebicciem je rodakom w obozie, szybko gromadząc pokaźne kieszonkowe. „Miałem pełne kieszenie pieniędzy” – wspomina, przyznając, że nie rozumiał pojęcia marży i po prostu dyktował dowolnie wysokie ceny desperacko potrzebującym drobiazgów uchodźcom. Gdy ojciec dowiedział się o tym „biznesie”, ukrocił go, tłumacząc synowi niestosowność tego rodzaju handlu w trudnych warunkach.

Ostatecznie, około 1947 r., rodzina Czapskich – ojciec z dwójką dzieci – dotarła transportem kolejowym do powojennej Polski. Po ośmiu latach tułaczki Władysław jako dziewięciolatek znów znalazł się w ojczystym kraju, którego jednak zupełnie nie pamiętał i który zdążył się bardzo zmienić. Drohiczyn Poleski nie należał już do Polski, więc Kresowianie kierowani byli do nowych miejsc – nierzadko na tzw. Ziemię Odzyskaną. Władysław trafił do internatu we Wrocławiu, działającego przy Technikum Budowy Maszyn Elektrycznych (dziś Zespół Szkół nr 18, ul. Młodych Techników). W tej szkole średniej o profilu technicznym kontynuował przerwana edukację, nadrabiając stracone lata. Mimo początkowych trudności (naukę czytania i pisanie musiał powtarzać niemal od podstaw) Czapski okazał się zdolnym uczniem. W 1956 r. pomyślnie ukończył szkołę, zdobywając zawód technika mechanika. Następnie zdał egzaminy na uczelnię wyższą – wybrał studia inżynierskie na Wydziale Mechanicznym Politechniki Wrocławskiej. W 1961 r. uzyskał dyplom magistra inżyniera mechanika, kończąc studia wyższe ze specjalnością konstrukcyjną.

Po studiach pracował w zawodzie. Specjalizował się w projektowaniu maszyn oraz urządzeń mechanicznych. W ciągu swej kariery zawodowej uzyskał kilka patentów i wynalazków, które zostały wdrożone do produkcji i przyniosły wymierne korzyści

gospodarce. Jak sam z dumą wspomina, jest autorem trzech pomysłów zatwierdzonych przez Urząd Patentowy – każdy z nich doczekał się praktycznej realizacji i zaoszczędził państwu znaczne sumy pieniędzy. W późnych latach 70. zajmował się wdrażaniem nowoczesnych metod planowania i zarządzania projektami w przemyśle – na wzór technik zachodnich. Doradzał m.in. w Zagłębiu Miedziowym na Dolnym Śląsku przy optymalizacji planu eksploatacji kopalń, a także w instytutach badawczo-rozwojowych w zakresie monitorowania realizacji kontraktów. W okresie stanu wojennego (po 1981 r.) Czapski ponownie doświadczył szykan. Pracując w jednym z wrocławskich zakładów, w grudniu 1981 r. otrzymał decyzję o zwolnieniu z pracy „z powodu niespełniania oczekiwań” – w rzeczywistości była to kara za nonkonformizm. Inżynier, mając na utrzymaniu rodzinę, wyjednał u dyrektora cofnięcie tej decyzji i przeniesienie go do swoistej „zamrażarki kadrowej”.

Władysław Czapski już w latach 70. dostrzegł potencjał rodzącej się informatyki. Jeszcze przed upadkiem komunizmu stał się jednym z pionierów prywatnej przedsiębiorczości w branży komputerowej. W 1981 r. zdołał uzyskać oficjalne zezwolenie władz na prowadzenie działalności usługowej z wykorzystaniem komputerów, co w realiach PRL-u było ewenementem. Założył jednoosobową firmę i, dzięki swojej pomysłowości, świetnie sobie radził. Napisał autorski program, który na podstawie daty urodzenia generował rozmaite statystyki i informacje personalne, m.in. obliczał sumę przeżytych dni, przewidywaną długość życia, a także – zestawiał dane jednostki z informacjami na temat innych osób urodzonych tego samego dnia. Ten dość prosty z dzisiejszego punktu widzenia program cieszył się wówczas ogromną popularnością na różnego rodzaju pokazach i prezentacjach jako nowinka przyciągająca ciekawskich. Jego firma świadczyła też realne usługi informatyczne: na własnym sprzęcie

proceedził obsługę plac i księgowości dla dużych przedsiębiorstw we Wrocławiu i okolicach. Miał umowy m.in. z Telekomunikacją Polską, Pocztą Polską, zakładami metalurgicznymi, a nawet z fabryką zbrojeniową Hydral – łącznie przetwarzał dane kadrowo-płacowe tysięcy pracowników.

Po 1989 r. kontynuował swój biznes jeszcze przez pewien czas, jednak z biegiem lat wycofał się z czynnej działalności, przechodząc na emeryturę. Mógł wreszcie poświęcić więcej uwagi rodzinie oraz sprawom, które leżały mu na sercu – pielęgnowaniu pamięci o historii swojego pokolenia. Władysław Czapski od lat angażuje się społecznie w środowisko tzw. Dzieci Syberii i Dzieci z Isfahanu. Uczestniczy w zjazdach i spotkaniach osób, które, podobnie jak on, przeszły w dzieciństwie tułaczy szlak z Sybiru przez Iran do różnych krajów. Współtworzył grupy i stowarzyszenia kombatanckie, m.in. Klub Dzieci Isfahanu czy Koło Sybiraków. Jak sam zauważa, spośród tysięcy polskich dzieci uratowanych z ZSRR po wojnie tylko niewielki procent wrócił do Polski – większość pozostała na emigracji (w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, USA, Australii, Nowej Zelandii i innych państwach), tam zdobywając wykształcenie i robiąc karierę.

Czapski utrzymuje kontakty z rodzinami i potomkami tych, którzy pozostali na obczyźnie, a także dba o mogiły i miejsca pamięci. W 2012 r., w 70. rocznicę ewakuacji z ZSRR, wraz ze swoją siostrą Wandą został zaproszony przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych do udziału w oficjalnej delegacji rządowej do Iranu. Odwiedzili wówczas miejsca na zawsze związane z ich historią: polski cmentarz w Teheranie, gdzie spoczywa ich matka Janina, czy cmentarz w Isfahanie. Czapski był głęboko poruszony widokiem zadbanych, ogrodzonych polskich cmentarzy na irańskiej ziemi, po latach wciąż znajdujących się pod opieką lokalnych władz i społeczności.

Długą i bogatą biografię mężczyzny wieńczy szczęśliwe życie rodzinne. W okresie powojennym we Wrocławiu poznał swoją przyszłą żonę, z którą założył rodzinę. Doczekał się dwóch córek, Agnieszki i Beaty, oraz czwórki wnucząt. Co ciekawe, do dziś pielęgnuje rodzinną tradycję inspirowaną wspomnieniem z Isfahanu – każdemu wnukowi co tydzień daje „kieszonkowe” w wysokości liczby ukończonych lat dziecka (np. siedmiolatek dostaje 7 złotych). Ma to nauczyć młodych odpowiedzialnego gospodarowania pieniędzmi, a zarazem jest sentymentalnym nawiązaniem do kilku groszy, które sam otrzymywał w irańskim obozie jako dziecko.

Na koniec warto podkreślić, że Władysław Czapski pozostaje skarbnicą wiedzy i świadkiem historii swojego pokolenia. Chętnie dzieli się wspomnieniami z młodszymi generacjami – bierze udział w projektach Archiwum Historii Mówionej, nagraniach i spotkaniach ze szkołami. Jego biografia jest niezwykłym przykładem losów polskiego dziecka, na które historia nałożyła ciężar tułaczki, ale które dzięki sile charakteru i wsparciu dobrych ludzi przetrwało najgorsze, wyrosło na wartościowego obywatela i pozostawiło trwałe ślad poprzez swoje dokonania. Sam Czapski nieraz podkreśla, jak ważna jest pamięć o doświadczeniach jego pokolenia.

Bibliografia

Źródła archiwalne

Zbiory Związku Sybiraków. Oddział Wrocław.

Czapski W., AHM_3086, relacja ze zbiorów Archiwum Historii Mówionej Ośrodka Ośrodka KARTA i Domu Spotkań z Historią.

Prasa

Tacik J., *Liban – moja druga ojczyzna*, „Gazeta Wyborcza” 2006, dod. „Wieża Ciśnień”, nr 187, s. 7.

Joanna Hytrek-Hryciuk
Muzeum Pana Tadeusza
(Zakład Narodowy im. Ossolińskich)

Ze wspomnieniami i nadzieją. Uczennice Szkoły Młodszych Ochotniczek w powojennym Wrocławiu

„Wracać czy nie wracać?” – to pytanie towarzyszyło kilku tysiącom Polaków, którzy w wyniku II wojny światowej znaleźli się poza granicami państwa. Zadawały je sobie również były uczennice Szkół Młodszych Ochotniczek, wojskowej szkoły dla dziewcząt, która od 1942 r. funkcjonowała przy Armii Andersa. Wspólnym marzeniem uczennic był udział w zwycięskiej defiladzie w porcie w Gdyni. Doskonale jednak zdawały sobie sprawę z politycznego położenia, w jakim znalazła się Polska po maju 1945 r. Same miały za sobą doświadczenia szlaku prowadzącego je przez republiki radzieckie, do których zostały deportowane w 1940 r., a potem przez Bliski Wschód aż do Wielkiej Brytanii. Tam ostatecznie Szkoły Młodszych Ochotniczek rozwiązano. Dziewczęta, często pozbawione wsparcia najbliższych oraz zderzające się z okrutną powojenną rzeczywistością na Wyspach, coraz częściej zastanawiały się nad tym czy „wracać czy nie wracać?” Słowo „wracać” jest tu jednak mylące. Niemal wszystkie uczennice (podobnie jak większość nauczycieli) pochodziła z Kresów Wschodnich. Po zmianie polskich granic w 1945 r. „powrót” oznaczał przyjazd w zupełnie nowe, obce miejsca.

Szkoła

Szkoła Młodszych Ochotniczek została powołana w 1942 r. Uczyły się w niej dziewczęta, które po 17 września 1939 r., w ramach zorganizowanych fal deportacji, trafiły do ZSRR. W lipcu 1941 r., na mocy układu zwanego potocznie układem Sikorski-Majski (od nazwisk jego sygnatariuszy), Związek Radziecki stał się sojusznikiem Polski w walce z nazistowskimi Niemcami. W celu „pomocy i poparcia w obecnej wojnie” na terytorium ZSRR miało powstać polskie wojsko złożone z polskich więźniów politycznych, jeńców oraz zesłańców. To właśnie oni mieli zasilić szeregi polskich sił zbrojnych. Do formującej się armii zgłosiła się także znaczna grupa ludności cywilnej, w tym – kobiety i dzieci.

Wiosną 1942 r. zapadła decyzja o ewakuacji polskich sił zbrojnych na tereny znajdujące się pod administracją brytyjską. Generał Władysław Anders obawiał się, że słabo wyszkolone i uzbrojone wojsko zostanie wykorzystane przez zwierzchników Armii Czerwonej na pierwszym froncie walki. Żołnierzy zgodziła się przyjąć administracja brytyjska, zarządzająca m.in. terenami Brytyjskiego Mandatu Palestyny. Ewakuowana miała być również szkoła. W lipcu 1942 r. dziewczęta przewieziono do Krasnowodstka (dziś: Turkmenbaszy w Turkmenistanie), a następnie statkiem – przez Morze Kaspijskie do Pahlevi (dziś: Bandar-e Anzali) w północnym Iranie i dalej do Teheranu, Khenkin (dziś Chanakin) i agdadu. We wrześniu tego roku rozdzielone wcześniej z powodów logistycznych uczennice zostały zebrane w obozie Pomocniczej Służby Kobiet w Gederze (Palestyna). Po raz kolejny szkoła przeniosła się do Rehovot, gdzie stacjonowała już samodzielnie, następnie – do Quastiny, Jeninu i w końcu, w 1944 r., aż osiadła w Nazarecie. Trzy lata później ostatnie uczennice ewakuowano przez Port Said do Foxley w Wielkiej Brytanii.

Edukację w SMO zaplanowano w różnych typach szkół: w pedagogicznym liceum ogólnokształcącym przeznaczonym

dla przyszłych nauczycielek, w gimnazjum oraz w szkole zawodowej. W Palestynie powołano również jednoroczny kurs spółdzielczo-handlowy, który przekształcono w gimnazjum kupieckie. Uczono księgowości, stenotypii, a z czasem i języka angielskiego oraz kroju i szycia. Zaczęto organizować również kurs „samochodowy”, pod którym prawdopodobnie kryje się możliwość zdobycia prawa jazdy. Najzdolniejsze dziewczęta brawurowo podchodziły do matury, a ponad trzydzieści absolwentek SMO próbowały swoich sił na francuskich i amerykańskich uniwersytetach w Bagdadzie.

Chociaż szkoła osiągała dobre wyniki w nauce, uczennicom z pewnością nie pomagały fatalne warunki oraz nieustanne przeprowadzki. W Karkin-Batasz – miejscu powołania szkoły – dziewczęta uczyły się wewnątrz „kibitki” – glinianej chaty miejscowych chłopów. Dach wykonany był z trawy, a oświetlenie i wentylację zapewniało jedno okno, co było o tyle uciążliwe, że letnie upały sięgały 50 stopni. Po ewakuacji do Iranu klasy zorganizowano w namiotach. Podobnie trudne warunki panowały w Rehovot. Sytuacja poprawiła się znacznie dopiero w Nazarecie, gdzie na potrzeby szkoły zaadaptowano budynek klasztorny. Koszarowe baraki pojawiły się ponownie dopiero w Foxley. Zajęcia sprowadzały się do wykładów, a uczennice starały się robić notatki na strzępach kartek. Powszechnym problemem przez cały okres niestabilnego funkcjonowania szkoły był niedostatek książek oraz materiałów piśmienniczych. Sytuacja zmieniła się dopiero w Nazarecie, gdzie, dzięki pomocy m.in. Ministerstwa Oświaty czy wojsk brytyjskich udało się wyposażyć szkołę, świetlicę oraz pracownię naukowe. W szkole obowiązywał wojskowy dryl, klasy podzielone były na plutony, a uczennice otrzymywały niewielki żołd oraz umundurowanie szyte specjalnie dla nich w Wielkiej Brytanii. Nie łączył ich wiek, pochodzenie, stan rodzinny ani wiedza. O przyjęciu do klasy decydowały nie tylko umiejętności, ale i życiowe wybory: do szkoły zawodowej najczęściej szły te dziewczęta, które

szybko chciały stanąć na nogi: były sierotami lub opiekowały się młodszym rodzeństwem. Komendantką Szkoły była Teodora Zofia Sychowska; trafiła do placówki poprzez więzienie w Wilnie oraz łagier Stupinowo.

Doświadczenie szkoły i zesłania na zawsze zmieniło młode kobiety. Antoni Drwęski, dziennikarz emigracyjnego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”, rozmawiający z tymi, które w 1947 r. na statku SS Mataroa przybiły do wybrzeży Liverpoolu, ze zgrozą zauważył: „Nawet uczennice liceum humanistycznego marzą jedynie o medycynie, politechnice, chemii, agronomii. Literatura, sztuki piękne, filozofia poszły w ką. Któż by sobie tym dziś zaprzętał głowę! Ładny świat sobie szykujemy”. Dziennikarz nie wspominał jednak, że decyzje dziewcząt nie tylko wynikają z doświadczenia lat tułaczki, ale są także reakcją na dość chłodne przyjęcie na Wyspach. Już tydzień po przyjeździe do Foxley żołnierki były zmuszone uruchomić szkołę wbrew wyraźnym poleceniom władz polskich, które byli zdania, że placówka nie jest środkiem prowadzącym do rozmieszczenia Polaków w Wielkiej Brytanii, a będąc dużym obciążeniem administracyjnym, nie ma racji bytu. W efekcie, ponad 400 uczennic szkoły, w większości pozbawionych wsparcia rodzin, z dnia na dzień zostałyby pozbawionych dachu nad głową. Zdeterminowana komendantka szkoły zdecydowała, że w takiej sytuacji najlepiej będzie postawić władzę przed faktem: placówka działa i nie należy likwidować jej w trakcie roku szkolnego.

„Wracać do Kraju? Emigrować?”

„Stanęłyśmy u progu nowego życia! Zaprzętała nas jedna wielka troska – starania o studia. Po dwie, po trzy, małymi grupkami ruszyłyśmy na pierwszy rekonesans do Londynu” – wspominały. Szukały dla siebie miejsca w Edynburgu, gdzie otwarto polski Wydział Medyczny, czy w innych miejscach Wielkiej Brytanii. Jeszcze inne decydowały się na emigrację do Kanady, USA czy

Australii. Pracę wśród Polonii w Brazylii wybrała m.in. komendantka Szkoły – Teodora Sychowska. Sytuacja pozostawała jednak trudna. Była uczennica, Maria Bałandiuk, tak opisywała swoje życie w Argentynie: „Nam mija tu rok za rokiem. Toczy się życie nie do darowania losowi. Nieduża ilość osób tylko zdołała urządzić się jakoś znośnie od samego początku. Większość długo borykała się w obcym świecie z bytowaniem często bardzo ciężkim. Praca zarobkowa fizyczna, często dorywcza, szydziła sobie ze wszystkich zainteresowań intelektualnych, wykształcenia, dawnych stanowisk”. Problemem były również kwestie emocjonalne: „W prowincji Mendozy mieszka Dada Kiper-Więckowska z rodzicami. Oboje rodzice uczyli w S. M. O. [...] Oni na pewno szukali na rozległych, argentyńskich obszarach miejsca cichego, przychylnego, swojskiego, szukali, aby przekonać się, że taki zakątek, do którego sercem przyłgnąć można zostawiliśmy wszyscy w Polsce i lepiej nie szukać go tutaj”. Wtórowała jej Maria Suracka-Muchlińska: „Czasy były trudne, deprymujące. Los wszystkich niepewny. Wracać do Kraju? Emigrować? U kogo dochodzić sprawiedliwości dla Polonii »semper fidelis«?” W równie trudnej sytuacji znalazła się Alicja Bober, studentka medycyny na Uniwersytecie w Edynburgu, która coraz częściej słyszała Anglików na ulicach, mówiących: „do domu wracają nasi chłopcy, a miejsca zajmują im ci »bloody Poles«”. Po zamknięciu polskiego Wydziału Medycznego wraz z mężem oraz kilkudniową córeczką zdecydowała się na przyjazd do Krakowa, podobnie jak niewielka grupa tych, którym przydarzył się cud odnalezienia w Polsce krewnych.

Matka „Poltegoru”

Informacja o odnalezieniu ciotki w Wielkopolsce zaskoczyła Zofię Szczęsnowicz. Jej matka zmarła na tyfus w Kazachstanie, dokąd obie trafiły w ramach akcji deportacji Polaków. Jej ojciec, sędzia sądu grodzkiego, a później, w Wilnie, aktywny prawnik, został wcześniej

aresztowany i, jak okazało się po latach, rozstrzelany w Kuropatach. Zofią zaopiekowali się przyjaciele, z którymi trafiła na Bliski Wschód. Przez Publiczną Szkołę Powszechną w Teheranie trafiła do gimnazjum ogólnokształcącego SMO w Nazarecie. 12 listopada 1947 r. zarejestrowano jej przybycie do wybrzeży Liverpoolu. Rok później punkt przyjęć Państwowego Urzędu Repatriacyjnego Gdynia – Port wydał jej przepustkę nr 594116, na podstawie której mogła pojechać do Leszna, gdzie osiedlili się jej krewni. W SMO nic nie zapowiadało jej błyskotliwej kariery zawodowej. Co prawda na świadectwie ze szkoły powszechnej (klasa szósta) matematykę i rysunki oceniono bardzo dobrze, jednakże kończąc II klasę, z matematyki otrzymała zaledwie ocenę dostateczną. Rok później, na ostatnim świadectwie wystawionym na Bliskim Wschodzie, matematyka oceniona została już dobrze. Zdobyta wiedza oraz talent wystarczyły, aby podjąć studia na Wydziale Architektury Politechniki we Wrocławiu. Po latach z niezwykłą empatią wspominała profesorów uczelni, którzy uczyli ją zrozumienia i szacunku dla początkowo „obcej” architektury Ziemi Zachodnich i Północnych, mówiąc, że należy podnieść ją z gruzów. W latach 1959–1961 była wiceprezeską Stowarzyszenia Architektów Polskich oddział we Wrocławiu. Pracowała w Biurze Projektów Przemysłowych i była autorką licznych budynków użyteczności publicznej w tym mieście. Do jej najśłynniejszych projektów należy biurowiec Poltegor przy ul. Powstańców Śląskich. Zaprojektowała go we współpracy z Józefem Szymańskim i Julianem Duchowiczem. Powstał w idei „ojca architektury” Miesa van der Rohe. Miał wysokość 25 pięter (92 m, z masztem antenowym 125 m) i był wówczas najwyższym obiektem w mieście, a także jednym z najwyższych w Polsce. W czasie rozmowy ze mną zażartowała, że, gdy Poltegor został w 2007 r. rozebrany, zakazała synowi przejeżdżać koło tego miejsca, kiedy wioził ją autem, tak, żeby nie musiała oglądać puste działki.

Obecnie konsultuje głównie prace syna, Tomasza Sołowija, który przejął prowadzone przez nią biuro projektowe. Nadal chętnie rysuje. W 2024 r. była honorową gością na otwartej w Muzeum Pana Tadeusza (Zakład Narodowy im. Ossolińskich) wystawie pt. „Tam, gdzie stoimy, świeci słońce. Szkoła Młodszych Ochotniczek 1942–1948”. Podkreślała wtedy, że to właśnie szkole zawdzięczała dyscyplinę i pogodę ducha, która pozwoliła jej przetrwać najtrudniejsze momenty w życiu.

W mundurze i bez niego

Z sielankowego dzieciństwa w Hołosku pod Lwowem Janina Duma zapamiętała głównie kolor lasu i zapach poziomek. Beztroskie chwile skończyły się wraz wybuchem II wojny światowej i wkroczeniem Sowietów na teren Kresów. W kwietniu 1940 r. NKWD aresztowało jej ojca, dziesięć dni później reszta rodziny została deportowana do Kazachskiej SRR. Wiosną 1942 r., po śmierci matki i nawiązaniu stosunków polsko-radzieckich, Janina wraz z siostrą trafiła do polskiego sierocińca, a następnie, po licznych perturbacjach, do Teheranu i Szkoły Młodszych Ochotniczek. W 1947 r., podobnie jak inne uczennice, dotarła do Wielkiej Brytanii. Jak wspominała, wiele osób pragnęło wrócić do kraju, ale obawa przed represjami powstrzymywała ich od tej decyzji. Ona sama jednak zdecydowała się na przyjazd. Jeszcze w Palestynie otrzymała informację, że jej brat, który cudem uniknął wywózki w 1940 r., mieszka we Wrocławiu. „I tak w czerwcu 1948 r. stanęłam znów na Ojczyściej ziemi, zaczynając nowy rozdział w swoim życiu” – relacjonowała. Do Polski przyjechała jak żołnierz – w mundurze – i swoje pierwsze kroki musiała skierować do Rejonowej Komendy Uzupełnień, gdzie otrzymała zaświadczenie o zakończeniu służby wojskowej. Już w cywilu, w stolicy Dolnego Śląska, ukończyła Liceum Administracji Finansowej. Pracowała jako sekretarka, a następnie – księgowa. W 1987 r. przeszła na emeryturę.

Wyszła za mąż za pochodzącego ze Lwowa Bolesława, doczekała się trzech synów. Zmarła w styczniu 2021 r. Jest pochowana na Cmentarzu św. Rodziny przy ul. Smętnej we Wrocławiu. W latach 60 XX. w miasto odwiedziła również jej siostra Lidia. Dziewczęta zostały rozdzielone jeszcze w Teheranie: Lidia, jako młodsza, trafiła do sierocińca w Isfahanie, a następnie do Nowej Zelandii. We Wrocławiu siostry zobaczyły się po raz pierwszy od 1943 r.

„W kółko Powstanie i Powstanie”

W komunistycznej Polsce temat zsyłki, służby w Armii Andersa oraz pobytu w Wielkiej Brytanii stanowił tabu, a wszelkie próby rozmów na ten temat budziły czujność funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Zdarzało się również, że opowieści, tak odmiennej od wojennych doświadczeń większości, nie rozumiała żyjąca pod niemiecką okupacją rodzina. „W kółko Powstanie i Powstanie, rozstrzeliwania, gestapo” – relacjonowała opowieści najbliższych Teresa Drzał, deportowana wraz z matką w głąb ZSRR na pięć długich lat, której nikt nie chciał pytać, jak przeżyła. Taka sytuacja miała też miejsce w rodzinie Renaty Miłaszewicz-Wasilewskiej, dla której doświadczenia wojenne i pobyt w Szkole stały się w powojennej Polsce jednocześnie ciężarem i wartością. Kobieta wspominała, że brak wspólnego języka z rodziną, z którą była rozdzielona przez lata, oraz odmienne doświadczenia wojenne spowodowały, że zdecydowała się „rozpocząć wędrówkę, tym razem po własnym kraju”. 5 września 1968 r. w Warszawie wzięła udział w mszy żałobnej upamiętniającej zmarłą tragicznie komendantkę SMO Teodorę Sychowską: „Wspomnienia, pytania, urywane odpowiedzi. [...]. Czy po 20 latach poznamy się wzajemnie? Ja musiałam się przedstawić, bo mnie nikt nie poznał. Szła na oczach, inny kolor włosów i na grzbiecie 20 bardzo chudych lat”. Podkreślała jednak, że nie tylko żyła wspomnieniami SMO, ale także starała się swoim dzieciom wpajać wartości, które, dzięki

szkole, stały się dla niej ważne. W swoich wspomnieniach Janina Duma opisywała ponurą rzeczywistość komunistycznych lat: „Kiedy w 1986 r. zwróciłam się do przyjęcia mnie do ww. związku [ZBOWID, przyp. JHH], odpowiedziano mi, że gdybym była wywieziona do Niemiec, to wtedy byłby to powód do przyjęcia, a tak...”. Ukoronowaniem jej starań o upamiętnienie losów zesłańczych była aktywność w ramach reaktywowanego po przełomie politycznym Związku Sybiraków (od grudnia 1991 r.) oraz odznaczenie, w 2006 r., Krzyżem Zesłańców Sybiru. Przez cały czas starała się także utrzymywać kontakty w koleżankami z SMO.

Pierwsze wielkie spotkanie byłych wychowanek i kadry Szkoły Młodszych Ochotniczek odbyło się w maju 1952 r. w dziesiątą rocznicę powstania szkoły w Związku Radzieckim. Przyjechało na nie ponad 150 uczennic. Niemal 120 osób z całego świata wzięło udział w zjeździe zorganizowanym w 2002 r. w Pułtusku. W 1967 r., z okazji 25-lecia, powołano Związek Byłych Uczennic SMO. W spotkaniu w 1980 r. mogła też wziąć udział Janina Duma, której na wyjazd do Wielkiej Brytanii niespodziewanie pozwoliła władza ludowa.

Dziś (2025 r.) żyje jeszcze niewielka grupa uczennic, którym stan zdrowia nie pozwala na dużą aktywność. Pamięć o Szkole pielęgnuje dziś Towarzystwo Byłych Uczennic, Wychowawców i Przyjaciół SMO w Londynie. O latach funkcjonowania placówki, a także wędrówki uczennic, również tej powojennej, przypominają tablice pamiątkowe zawieszane na ścianie kompleksu kościoła św. Józefa w Nazarecie, w kościele św. Andrzeja Boboli w Londynie oraz św. Jacka w Warszawie. Ta ostatnia została ufundowana również ze składek byłych uczennic mieszkających w Polsce.

Tekst powstał dzięki kwerendzie archiwalnej wspartej przez stypendium Fundacji Lanckorońskich (2025 r.).

Bibliografia

Źródła archiwalne

Instytut Pamięci Narodowej Biuro Udostępniania w Warszawie, sygn. IPN BU 2904/155, Wykaz junaczek zmarłych w 1942 r. w szkole junaczek w ZSRR oraz żołnierzy, junaków i ochotniczek Pomocniczej Służby Kobiet Armii Polskiej zmarłych w ZSRR w okresie od września 1941 r. do września 1942 r., opracowany na podstawie wydawnictwa - Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie w latach 1939-1946.

Instytut Polski i Muzeum im. Władysława Sikorskiego w Londynie, Kolekcja Szkół Młodszych Ochotniczek.

Prasa

Drwęski A., „Nazaretanki” w obozie w Foxley, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, 1.09.1947, s.1.

Zjazd Szkół Młodszych Ochotniczek w Pułtusku, „Akowiec. Biuletyn Informacyjny Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Koło w Opolu”, lipiec-wrzesień 2002, s. 28-29.

Wspomnienia

Duma J., Osiem lat na obczyźnie, [w:] *Dzieciństwo i młodość w cieniu represji (lata 40. i 50. XX w.)*, Biblioteka Zesłańca, tom XV, wstęp i opracowanie P. Cichoracki, M. Ruchniewicz, Wrocław 2024, s. 89-147.

Książka Pamiątkowa Szkół Młodszych Ochotniczek, Londyn 1972.

Opracowania

Przetrwalam. Doświadczenia kobiet więzionych w czasach nazizmu i stalinizmu, red. M. Buko, K. Madoń-Mitzner, M. Szymańska, Warszawa 2017 (relacja T. Drzal).

Relacje

Duma, J., *Osiem lat na obczyźnie*, Sybiracy.pl, 2007, [on-line:] http://sybiracy2010.sybiracy.pl/wspomnienia/janina_duma.pdf, [18.12.2025].

Sejnowicz R. (relacja dotycząca babci, Alicji Bober). W zbiorach własnych Autorki. Sejnowicz R. (relacja dotycząca babci Alicji Bober). W zbiorach własnych Autorki.

Szczęsnowicz-Sołowij Z., Stowarzyszenie Architektów Polskich. Oddział Wrocław, [on-line:] https://youtu.be/0Cp_zydYOL4, [18.12.2025].



**STOWARZYSZENIE
PAMIĘCI
ZESŁAŃCÓW
SYBIRU
WE WROCŁAWIU**

Wrocław miasto spotkań